

Jan Rokita: Czy cud wydarzył się naprawdę?

Nie jest tak, że wygórowane rachuby na zmianę niekorzystnego układu sił w Europie i zbudowanie na przyszłość liczącego się geopolitycznie „trójkąta lubelskiego”, muszą już zostać pogrzebane. Pomimo wszystkich widocznych kłopotów, polityczna współpraca krajów z dziedzictwem dawnej Rzeczypospolitej nadal wygląda bardziej obiecująco, aniżeli pisane palcem po wodzie mrzonki o solidarności wyszehradzkiej, albo jakimś rozległym bloku Międzymorza. Tylko nie należy sobie roić różnych dziwnych rzeczy co do naszego nowego sojusznika na wschodzie – pisze Jan Rokita w felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Trzeba przyznać, że próby zawracania koła polsko-ukraińskiej historii, które uporczywie kręciło się w złą stronę, zawsze brały w łeb, albo wręcz obracały się w katastrofy. Słuszność takiej ponurej diagnozy jest uderzająca, jeśli patrzeć na ostatnie sto lat z okładem, kiedy to sprawa polsko-ukraińska stała się na powrót, po dwóch wiekach przerwy, utrapieniem, czy wręcz przekleństwem naszego regionu Europy. Po raz pierwszy „nową erę” we wzajemnych odniesieniach Polaków i Ukraińców ogłosili we Lwowie w roku 1890 hrabia Kazimierz Badeni i szef Ukraińskiego Klubu Sejmowego Julian Romańczuk. Ale z tamtej „nowej ery” wyszło w praktyce tyle, że radykałowie ukraińscy ogłosili ją mianem „handlu ruską sprawą”, po czym uchwalili na zjeździe 1897 roku, iż lepiej będzie po prostu „wypędzić Polaków z naszej ziemi”. W finale był lwowski mord na namiestniku Andrzeju Potockim.

Ale „stańczycy” (trzeba im tu oddać sprawiedliwość) byli nieustępliwi w wysiłkach zawrócenia koła polsko-ukraińskiej historii. Ostrego zwrotu, połączonego z reformą wyborczą i planem rozwoju szkolnictwa ukraińskiego, próbował tuż przed wielką wojną kolejny namiestnik – Michał Bobrzyński. Tym razem polityczne fiasko przyniósł wrogi sprzeciw polskich endeków, wspieranych przez słabo kumających politykę (tak wtedy, jak i dzisiaj) katolickich biskupów. I już wkrótce historyczną puentą tego rozdziału stały się krwawe walki o Lwów.

„Stańczycy” mieli jednak wybitnego ucznia, przynajmniej gdy idzie o politykę wschodnią. W wolnej Polsce ich tropem, i to z właściwym sobie rozmachem, próbował podążyć Józef Piłsudski, zawierając antysowieckie przymierze wojskowe z atamanem Semenem Petlurą. Ale jak wiadomo, bolszewicy podeszli pod Warszawę, a Piłsudski nie miał dość sił, by trwale wyzwolić Kijów, więc Polska zdradziła sojusznika, żeby zawrzeć pokój z Sowiecami. I nie minęło dużo czasu, gdy przed „brzeskimi” wyborami sanacja wszczęła wojskowe pacyfikacje ukraińskich wsi, a w Warszawie w odwecie zamordowano ministra Pierackiego. No a potem był Wołyń, Bieszczady, akcja „Wisła” i półwiecze sowieckiej okupacji. Katastrofa za katastrofą.

*Jak wiadomo, bolszewicy
podeszli pod Warszawę, a
Piłsudski nie miał dość sił, by
trwale wyzwolić Kijów, więc
Polska zdradziła sojusznika,
żeby zawrzeć pokój z
Sowiecami*

Ostatnia (chwała Bogu) już mniej dramatyczna, choć równie nieudana próba, jest świeżej daty, a zrodziła się z kijowskiej Pomarańczowej Rewolucji. „Prometejsko”

zorientowany Lech Kaczyński zabiegał o budowę politycznej osi z Wiktorem Juszczenką; razem odbyli sławną wyprawę do Tbilisi, pod które podchodzili już Moskale. Tyle tylko, że zaraz potem Ukraina stoczyła się pod panowanie kremlowskiej agentury, a w Warszawie zwyciężyła wymuszona przez Amerykę polityka „resetu” z Kremllem. Nie minie dużo czasu, gdy polskiej prawicy aż tak się przekręci wektor polityki wschodniej, że pewien nieszczęsny szef MSZ będzie groził Ukrainie, z powody sporu o politykę historyczną, polskim wetem dla akcesji do Unii i NATO. Gdy jednak nadszedł ponury dzień 24 lutego 2022 roku, to wszyscy ulegliśmy wrażeniu, że tym razem koło historii polsko-ukraińskiej zawróciło tak gwałtownie i z taką mocą, że już nigdy nie może powrócić na dawne tory. Co prawda, niezwykle rzadko tak się dzieje w historii, no ale cóż... Cud ponoć także przynależy do kategorii zjawisk realnej polityki, więc jego możliwość warto uwzględnić w politycznych kalkulacjach.

No i teraz właśnie okazuje się, iż w gruncie rzeczy nie wiadomo, czy w ubiegłym roku faktycznie był cud, czy to nam się tak tylko zdawało. W każdym razie trudno nie dostrzec, że wysoka fala polsko-ukraińskiego entuzjazmu już się przewaliła i zaczął się właśnie odpływ. Polska dawno już nie jest istotnym donatorem sprzętu wojskowego dla Ukrainy, co jeszcze rok temu było u nas powodem do dumy i poczucia wyższości nad Zachodem, a w tę naszą rolę weszły teraz Niemcy. Liczbę wojennych uchodźców polski premier publicznie przekalkulowuje na pieniądze, które – jego zdaniem – należały się Polsce za gościnność, a których nam nie wypłacono. Z największych entuzjastów szybkiego włączenia Ukrainy do Unii staliśmy się nagle główną europejską zawadą dla unijnego trendu otwierania się na rynki ukraińskie. A polski komisarz w Brukseli jest dziś jedynym unijnym komisarzem szczerze znienawidzonym w Kijowie. I na to wszystko nadchodzi właśnie 80 rocznica rzezi wołyńskiej, a nim jeszcze przyszła, już wywołała

awanturę dyplomatyczną między naszymi krajami, wściekłą falę wzajemnej wrogości w sieci i płynące z Kijowa pogrożki, że o zdjęciu blokady na ekshumacje i upamiętnienie ofiar wołyńskich nie mamy nawet co liczyć, skoro pozwalamy na niszczenie grobów strzelców Ukraińskiej Powstańczej Armii na Podkarpaciu. Te pogrożki płyną od mianowanego przez Zeleńskiego młodego szefa ukraińskiego IPN-u, który skarży się (chyba nie bez przyczyny), iż obecne kierownictwo polskiego IPN jest impregnowane na współpracę z Kijowem.

Rzeczywistość jest rzeczywistością i nie ma co się na nią dąsać. W takich razach warto pamiętać, że nie ma na tym świecie materii bardziej niestałej i kruchej, aniżeli polityka. Wielkie okazje objawiają się w polityce na jeden moment, a niewykorzystane natychmiast, nie wracają już czasem przez wieki. Ale co może ważniejsze, z tymi historycznymi okazjami jest tak, że czasem jest w nich więcej politycznych iluzji, niżli realiów. Nie ma dwóch zdań, że wielkość w polityce polega właśnie na tym, aby co najmniej próbować wrywać się z przeznaczeń złego losu, wymuszając odmianę jego wyroków. Ale to nie może znaczyć pochwały jakiegoś politycznego konstruktywizmu, wedle którego wielowiekowe przeznaczenia można odmienić niemal z dnia na dzień, tylko za sprawą politycznej „virtu”. Nie usuniemy przecież z ludzkich serc odmiennego odczytywania wspólnej historii; możemy tylko starać się, aby powoli, krok po kroku, dziedzictwo dawniejszej wspólnej dziejowej ojczyzny umacniało się, wypierając poczucie zadawnionej wrogości.

Dlatego kompletnym durniem byłby w dzisiejszej Polsce ktoś, kto z powodu dobrego przyjęcia u nas wojennych uchodźców, albo polskich dostaw broni dla walczącej ukraińskiej armii, oczekiwałby „zapłaty” w formie niezwłocznego i przymusowego przewartościowania przez

*Z pomocą dobrej polityki
możemy kolizji tylko
dodatkowo nie wyostrzać,
wygładzać ich najostrzejsze
kanty, nie stawiać spraw na
ostrzu noża, szukając jakiegoś,
choćby tylko
czasowego *modus vivendi**

Ukraińców ich
rozumienia własnej
historii. Tymczasem
coraz częściej można
odczuć w Polsce coś
na kształt tego
rodzaju
spontanicznego
zbiorowego
oczekiwania.
Zupełnie tak,
jakbyśmy nagle,
owszem, chcieli

bratać się ze wschodnim sąsiadem napadniętym przez Moskali, ale jakimś sąsiadem urojonym: Ukrainą bardziej wyobrażoną przez nas, aniżeli rzeczywistą. Albo jakbyśmy chcieli przeliczyć (tak jak Morawiecki ukraińskich uchodźców przelicza na niezapłacone nam przez Zachód pieniądze) naszą solidarność z napadniętym sąsiadem na jakąś wymierną cenę, którą ów sąsiad winien nam rychło zapłacić. W takim toku rozumowania owa solidarność wiąże się nam z najbardziej prozaiczną ekonomią, prowadząc do z gruntu fałszywej konkluzji, iż Ukraina winna teraz poświęcić swoje gospodarcze interesy tam, gdzie wchodzi one w kolizję z naszymi. Tymczasem nie ma takiej polityki, która potrafiłaby anulować obiektywne kolizje wzajemnych interesów ekonomicznych Polski i Ukrainy. Z pomocą dobrej polityki możemy owych kolizji tylko dodatkowo nie wyostrzać, wygładzać ich najostrzejsze kanty, nie stawiać spraw na ostrzu noża, szukając jakiegoś, choćby tylko czasowego *modus vivendi*.

Przypomnienie dawniejszych, zawsze dotąd felernych prób zawrócenia koła polsko-ukraińskiej historii na lepsze tory, uprzytamnia nam skalę trudności, jaką niesie próba obecna. Z całą pewnością najważniejsza i rokująca najwięcej szans na przyszłość. Nie jest tak, że wygórowane rachuby na zmianę niekorzystnego układu sił w Europie i zbudowanie na przyszłość liczącego się geopolitycznie „trójkąta lubelskiego”, muszą już zostać pogrzebane. Pomimo wszystkich widocznych kłopotów, polityczna współpraca krajów z dziedzictwem dawnej Rzeczypospolitej nadal wygląda bardziej obiecująco, aniżeli pisane palcem po wodzie mrzonki o solidarności wyszehradzkiej, albo jakimś rozległym bloku Międzymorza. Tylko nie należy sobie roić różnych dziwnych rzeczy co do naszego nowego sojusznika na wschodzie. A to, że Ukraińska Powstańcza Armia stanie się tam nagle z ikony patriotyzmu złowrogim symbolem okrucieństwa. A to, że Kijów wespół z Warszawą będzie budować w Europie jakiś blok antyniemiecki. A to znów, że z polski biznes, tak ubogi w kapitały, odegra jakąś istotną rolę w odbudowie Ukrainy. To są typowe polskie mrzonki. Jeśli polska polityka je porzuci, to być może okaże się, że polsko-ukraiński cud roku 2022 wydarzył się naprawdę.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”

KG